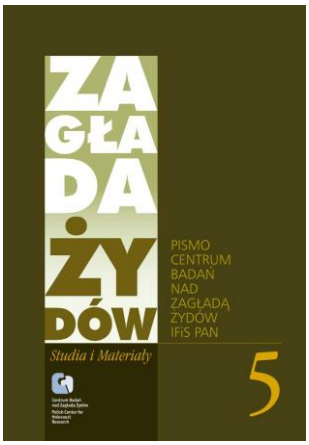


Zagłada Żydów. Studia i Materiały
Holocaust Studies and Materials

VOL. 5 (2009)

ISSN: 1895-247X
eISSN: 2657-3571
DOI: 10.32927
WWW: www.zagladazydow.pl

Centrum Badań nad Zagładą Żydów IFiS PAN
Polish Center for Holocaust Research

Cenzor na straży Kościoła. Ocenzurowany pamiętnik Krystyny Modrzewskiej

Censor Guarding the Church. Krystyna Modrzewska's Censured Diary

Jacek Leociak
Instytut Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk

jleociak@gmail.com
ORCID: https://orcid.org/0000-0003-1471-6926

DOI: https://doi.org/10.32927/ZZSiM.325
Strony/Pages: 371-393

CC BY

OPEN ACCESS

Jacek Leociak

Cenzor na straży Kościoła. Ocenzurowany pamiętnik Krystyny Modrzewskiej

Krystyna Modrzewska[1] urodziła się 14 września 1919 r. w Warszawie. Jej ojcem był Hersz Jakub Mandelbaum, lekarz, bundowiec, ostatni przed wojną ordynator szpitala żydowskiego w Lublinie. Matka, Franciszka, pochodziła z Warszawy. Była pianistką i nauczycielką muzyki. Rodzina Mandelbaumów mieszkała w stolicy do 1929 r. Potem przenieśli się do Lublina i zamieszkali w kamienicy przy ul. Bernardyńskiej 9. Wybuch wojny przerwał podjęte przez Krystynę w Bolonii studia przyrodnicze. Z Włoch przywiozła do Lublina metrykę chrztu. W Bolonii „zrealizowałam dawne moje zamiary oficjalnego wyznania wiary, której i tak hołdowałam" – napisze potem w pamiętniku, uznając ten akt za „sprawę czysto i głęboko osobistą"[2], dlatego utrzymaną w tajemnicy przed rodziną. W nagranym w 1999 r. wspomnieniu potwierdzi: „Ja byłam i jestem rzymską katoliczką. Matka ochrzciła się po wojnie. Nie obchodzili świąt nawet moi dziadkowie. Nie chodziliśmy do żadnego kościoła. Ale po wielu latach doszłam do wniosku, że mój dom, nie będąc faktycznie chrześcijańskim, był najbardziej chrześcijański z tych, które znałam. Ze swojego stosunku do ludzi, do wartości"[3].

Starszy o 8 lat brat Krystyny ukończył w 1938 r. Wydział Budowy Maszyn Politechniki w Berlinie. Był członkiem Komunistycznej Partii Niemiec (Kommunistische Partei Deutschlands, KPD) w czasie jej legalnej działalności oraz po zdelegalizowaniu. Zajmował się propagandą. Wielokrotnie aresztowany, torturowany, chciał w 1939 r. uciec z Niemiec do Protektoratu Czech i Moraw. Został zatrzymany podczas próby przekroczenia granicy i 5 października zabity w więzieniu w Dreźnie. Ojciec, zmobilizowany we wrześniu 1939 r. w wieku 57 lat, przeszedł wraz z 8 Pułkiem Piechoty Lubelskiej na Węgry. Tam go internowano. Przebywał w obozie nad

[1] Jest to nazwisko z okupacyjnych, „aryjskich" papierów, które zdecydowała się wyrobić jesienią 1940 r. w Warszawie. „Z książki telefonicznej wybrano mi pięknie brzmiące nazwisko – wspomina w pamiętniku – i po kilku dniach byłam w posiadaniu »autentycznej« metryki i dowodu osobistego" („Biuletyn ŻIH" 1959, nr 31, s. 68). Z tym nazwiskiem nie rozstała się już do śmierci.

[2] Nieopublikowany fragment pamiętnika: AŻIH, 302/88, s. 1 maszynopisu.

[3] Według wspomnień nagranych 1 V 1999 r. dla projektu „Lublin. Pamięć miejsca" www.tnn.pl/himow_osoba.php?idho=129.

Balatonem. Zachorował na raka i zmarł w budapeszteńskiej klinice wiosną 1944 r. Krystyna na początku okupacji pracowała jako pielęgniarka w szpitalu żydowskim w Lublinie. Mieszkała z matką przy ul. Bernardyńskiej 9 aż do 1 grudnia 1939 r.[4], kiedy – wyrzucone z mieszkania przez Niemców – znalazły schronienie w pokoju na terenie szpitala.

Krystyna dwukrotnie bez powodzenia próbuje dostać się za granicę. Pierwszy raz legalnie. Jej ważny paszport i wiza (była na III roku studiów na uniwersytecie w Bolonii) nie znajdują jednak uznania ani w ambasadzie włoskiej, ani szwajcarskiej. Sprawa rozbiła się o wpis w rubryce „wyznanie". Jako „Polka wyznania mojżeszowego" nie miała szans. Postanawia przedrzeć się przez góry na Węgry, gdzie jest jej internowany ojciec. Grupa uciekinierów dociera do Sanoka, ale umówiony przewodnik zostaje aresztowany, więc reszta w porę salwuje się ucieczką. W marcu 1941 roku rozpoczęły się wysiedlenia Żydów z Lublina, poprzedzające utworzenie getta. Krystyna z matką, w porę ostrzeżone[5], w czasie trwającej pięć dni akcji znajdują schronienie na plebanii u znajomego księdza, który bez wahania zatrzymuje je u siebie. Był on dawnym sąsiadem rodziny Mandelbaumów i pomagał im od początku okupacji. W końcu 1939 r. Krystyna ukryła na plebanii radio. Ksiądz zapraszał też czasem matkę i córkę na niedzielne obiady. „Przez cały ten czas – pisze Krystyna – szczerze interesował się naszym losem i spieszył z pomocą, kiedy tylko mógł i czym mógł"[6]. Ksiądz umieszcza Krystynę pod Lublinem w „domu nowicjackim", którego przełożoną była siostra Helena. Matka Krystyny zostaje w Lublinie aż do likwidacji getta w marcu/kwietniu 1942 r. Wtedy ten sam ksiądz najpierw przechowuje ją na plebanii, potem posyła do prowadzonego przez siostry zakonne domu w Międzylesiu pod Warszawą, gdzie doczekuje wyzwolenia[7]. Umiera w 1965 r.

---

[4] W pamiętniku przekazanym do CKŻP w 1947 r. Krystyna podaje datę 1 grudnia 1939. Tę samą datę podaje jej matka Franciszka Mandelbaum w relacji złożonej 28 XII 1945 w Lublinie przed Centralną Żydowską Komisją Historyczną (AŻIH 301/1295, s. 2). Natomiast we wspomnieniach nagranych w 1999 r. Krystyna mówi o 15 grudnia.

[5] Ostrzeżenie przekazała żona lekarza, która o planowanej akcji dowiedziała się od Janiny Mazurówny, kochanki Götzloffa, jednego z lubelskich gestapowców zajmujących się sprawami getta. Zob. AŻIH, 301/1295, Relacja Franciszki Mandelbaum, k. 6.

[6] „Biuletyn ŻIH" 1959, nr 31, s. 72. Niestety, ani Krystyna Modrzewska, ani jej matka Franciszka Mandelbaum nie podają nazwiska księdza.

[7] Krystyna w swoim pamiętniku nie podaje nazwy zgromadzenia zakonnego prowadzącego „dom nowicjacki" pod Lublinem, w którym przebywała sama, ani tego ukrywającego matkę. Z zapisu w pamiętniku można wnioskować, że chodzi o to samo zgromadzenie. We wspomnieniach nagranych w 1999 r. stwierdza natomiast, że matka „skorzystała z pomocy sióstr Bedanek [*sic*!] i mieszkała do wyzwolenia w ich domu w Międzylesiu pod Warszawą" (www.tnn.pl/himow_osoba.php?idho=129). Otóż Zgromadzenie Sióstr Rodziny Betańskiej, które powstało w 1930 r., od roku 1935 miało swoją siedzibę w diecezji lubelskiej. W Międzylesiu pod Warszawą nie było betanek, natomiast trzy domy prowadziły tam Siostry Franciszkanki Rodziny Marii. Charakterystyczne, że Franciszka Mandelbaum nie wspomina w swojej relacji ani słowem o tym, że ukrywała się u sióstr w Międzylesiu. Podaje tylko, że „wysłano ją na wieś". Pisze: „Ja mieszkałam przez dwa i pół roku na wsi. Nikt mnie nie znał. Robi-

Krystyna dokładnie wskazuje moment rozpoczęcia życia pod zmienioną tożsamością: „idąc za radą księdza, wydobyłam z ukrycia moje »aryjskie dokumenty« i z dniem 15 marca 1941 r. rozpoczęłam żywot innego człowieka”[8]. W „klasztorze”, który „okazał się zwykłą walącą się chałupą wiejską”[9], przebywa od marca 1941 do początku 1943 r., płacąc siostrom początkowo 60, potem 120 zł miesięcznie. Jednocześnie pracuje w miejscowym Urzędzie Gminnym jako tłumaczka i kancelistka. Dorabia sobie pisaniem podań, sporządzaniem planów gminnych kuźni, kontrolowaniem skupu końskiego włosia, trafia też na jakiś czas do „pewnej małej i odległej gminy, […] za Ostrów [Lubelski]”[10], gdzie podejmuje pracę w miejscowym urzędzie. Narasta jej konflikt z siostrami. Z jednej strony korzystają one chętnie z jej pomocy w sprawach urzędowych i protekcji w gminie, z drugiej egzekwują ścisłe posłuszeństwo, dyscyplinę i rygoryzm, którym nieposkromiona natura młodej dziewczyny nie chce się poddać. „Pomogłam im w niejednym, wystarałam się o przydział masła z mleczarni, wydostałam dla nich kilka »Bezugscheinów«[11] z urzędu gminnego, anulowałam jakiś podatek. Przydawałam się, więc mnie tolerowały” – napisze w pamiętniku[12]. Siostry jednak narzekały na niewdzięczność Krystyny, a kiedy opieka nad ciężko chorą przyjaciółką spowodowała zaniedbanie obowiązków w gminie i usunięcie jej z pracy – wymówiły jej mieszkanie. Jakby tego było mało, postępując skrajnie nierozsądnie, zwierzyły się kilku osobom, że trzymały u siebie Żydówkę. Sytuacja stała się groźna, ale Krystynie szczęśliwie udało się dostać posadę maszynistki w starostwie w Garwolinie, dokąd wyjechała 18 lutego 1943 r.

Szybko awansuje w hierarchii urzędniczej referentem działu „rozdawnictwa i kontroli”. Było to wymarzone zajęcie. „Wszystkie instytucje aprowizacyjne na terenie powiatu były bezpośrednio ode mnie zależne” – wspomina, pisząc o „darach”, jakie przysyłali rzeźnicy, piekarze, ogrodnicy[13]. Działa jednocześnie w konspiracji, pełniąc funkcję podoficera prowiantowego przy kwatermistrzostwie Lubelskiego Okręgu Armii Krajowej. O swej podwójnej, a właściwie potrójnej tożsamości pisze autoironicznie: „Znał mnie cały powiat. Jedni uważali mnie za biuralistyczną formalistkę, bezwzględną, nieustępliwą i punktualną, inni znów wiedzieli, że jestem »kanciarką«[14] i żołnierzem. Znano dwa oblicza moje i nikt nie przypuszczał, że mam jeszcze inną, trzecią twarz – żydowską”[15]. Prowadzi akcję sabotażową na

---

łam swetry i inne trykotaże, a także pomagała mi córka. Tak przetrwałam do końca” (AŻIH, 301/1295, k. 9).

[8] „Biuletyn ŻIH” 1959, nr 31, s. 73.

[9] Nieopublikowany fragment pamiętnika: AŻIH, 302/88, s. 31 maszynopisu.

[10] „Biuletyn ŻIH” 1959, nr 31, s. 78.

[11] Kwit uprawniający do pobrania określonych towarów z niemieckiego magazynu.

[12] „Biuletyn ŻIH” 1959, nr 32, s. 69.

[13] *Ibidem*, s. 75.

[14] We wspomnieniu nagranym w 1999 r. dla projektu „Lublin. Pamięć miejsca” powie: „Mnie w czasie wojny nazywano Kantermacher. Od robienia kantów”; www.tnn.pl/himow_osoba.php?idho=129.

[15] „Biuletyn ŻIH” 1960, nr 33, s. 109.

dużą skalę. Wystawia fikcyjne zapotrzebowania na przydziały żywności, fałszuje podpisy pod zaświadczeniami, przepustkami, zezwoleniami. Kwatermistrzostwo AK koordynuje swoje akcje aprowizacyjne ściśle z wytycznymi Krystyny. Z czasem śle meldunki o rozmieszczeniu i sile niemieckich oddziałów wojskowych. Raporty przekazuje oficerowi łącznikowemu AK, również zatrudnionemu w starostwie garwolińskim. „Miło było potem słyszeć alarmującą wieść, że w tej czy owej miejscowości »bandyci« wycięli w pień załogę niemiecką" – zaznacza z satysfakcją w pamiętniku[16]. Niemieccy przełożeni Krystyny darzą ją tymczasem tak wielkim zaufaniem, iż na początku lipca 1944 r. zostaje delegowana do Warszawy na wielką odprawę referentów aprowizacyjnych całego dystryktu warszawskiego. Dochodzi do niezwykłej sytuacji. Notable niemieccy, z szefem dystryktu Fischerem na czele, ściskają dłoń Krystynie Modrzewskiej, polskiej Żydówce, podoficerowi AK. „Przeżyłam wtedy jeden z najlepszych moich wojennych dni, dzień wielkiej, rozpierającej satysfakcji"[17].

Potem wypadki biegną już szybko. Pospieszna ucieczka Niemców ze starostwa pod koniec lipca 1944 r., lud wdzierający się do pomieszczeń urzędowych i kasyna, wynoszący stamtąd, co tylko zdoła unieść. Krystyna opuszcza Garwolin i jedzie do Międzylesia, do matki. Razem z matką i zakonnicą, która ją ukrywała przedziera się 5 sierpnia 1944 r. przez linię frontu. 15 września przyjeżdża do Lublina. 1 grudnia wprowadza się do własnego domu.

W latach 1947–1948 pracowała w Zakładzie Antropologii Uniwersytetu im. Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. W roku 1948 uzyskała stopień doktora nauk przyrodniczych, w latach 1949–1950 pracowała w Instytucie Antropologii Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Od roku 1950 pełniła obowiązki adiunkta, a następnie docenta Zakładu Anatomii Prawidłowej Akademii Medycznej w Białymstoku, studiując jednocześnie na Wydziale Lekarskim tej uczelni. Po ukończeniu studiów medycznych wróciła do Lublina, gdzie w latach 1956–1963 była docentem w Zakładzie Antropologii Uniwersytetu im. Marii Curie-Skłodowskiej, a od 1964 do 1970 r. jego kierownikiem. Po wymuszonej emigracji do Szwecji pracowała w Instytucie Genetyki Klinicznej Uniwersytetu w Uppsali, gdzie w 1980 r. uzyskała stopień doktora nauk medycznych, a rok później tytuł docenta. W 1985 r. odeszła na emeryturę. Publikowała artykuły i prace naukowe (*Długość życia mieszkańców Białegostoku*, 1956), w latach sześćdziesiątych zaś tomy beletrystyki. Na emeryturze zabrała się do pisania wspomnień. Wydała: *Trzy razy Lublin* (1991), w którym nie ma ani słowa o ukrywaniu się w klasztorze u sióstr betanek; *Czas przedostatni* (1993), dotyczący okresu po opuszczeniu Polski w 1970 r.; *Dom przy Bernardyńskiej* (1999) – powrót do przedwojennej młodości; *Z Bolonii do Uppsali* (2002) – opis peregrynacji autorki po uniwersytetach krajowych i zagranicznych.

[16] *Ibidem*, s. 116.
[17] *Ibidem*.

Krystyna Modrzewska zmarła w Szwecji 27 sierpnia 2008 r. i zgodnie z jej ostatnią wolą urnę z prochami zatopiono w morzu[18].

* * *

Swój pamiętnik Modrzewska przekazała do Centralnej Żydowskiej Komisji Historycznej w 1947 r. Napisany bardzo dobrą polszczyzną, zdradzającą przyszłe pisarskie dokonania autorki, mieścił się na 177 stronach dwóch zeszytów w linię, z nadrukiem na okładce: „School Work Book". Tekst nie miał tytułu. Pamiętnik został opublikowany w trzech kolejnych numerach „Biuletynu ŻIH": nr 31 (1959), s. 57–80, nr 32 (1959), s. 65–78, nr 33 (1960), s. 105–124. Część pierwsza, rozpoczynająca się wybuchem wojny, a kończąca masowymi egzekucjami Żydów w lesie koło Krępca pod Lublinem na wiosnę 1942 r., została zmasakrowana przez cenzurę. Mamy do czynienia aż z dwudziestoma ingerencjami. Niektóre dotyczą trzech–czterech zdań, inne obejmują obszerne akapity bądź całe połacie tekstu o objętości od półtora do pięciu stron znormalizowanego maszynopisu.

Nie jest to, niestety, jedyny przykład cenzurowania źródeł historycznych z okresu II wojny światowej. Stanowi to jednak temat na osobne studium. Pozostając przy pamiętniku Modrzewskiej, zapytajmy o typ tekstu, który padł ofiarą cenzorskiego ołówka.

Okazuje się, że w 1959 i 1960 r. nie mogły zostać opublikowane w piśmie naukowym fragmenty pamiętnika z czasu okupacji mówiące o dyskryminacji Żydów podczas kampanii wrześniowej; o obstrukcji, którą stosowały ambasady Włoch i Szwajcarii wobec Polaków pochodzenia żydowskiego starających się o wizy; o antysemickich nastrojach wśród Polaków i rabunku mienia żydowskiego. Ingerencję w te właśnie treści można uznać za próbę złagodzenia wymowy pamiętnika, gdyż wiele podobnych surowych ocen postawy Polaków wobec Żydów nie zostało wyeliminowanych i znajdują się w opublikowanej wersji. Wykreślono też passus zawierający bulwersującą deklarację autorki o jej obcości wobec żydostwa, nazywanego brutalnie „schorzałym tworem społecznym, wyrosłym na ciele narodów, na skutek dawnych błędów natury religijno-historycznej" – mimo iż Modrzewska w następnym zdaniu przyznaje się do „kardynalnych błędów" swego ówczesnego rozumowania. Ochroną prywatności można tłumaczyć wyeliminowanie rozważań autorki o jej stosunku do ciotki z Warszawy i o zaprzyjaźnieniu się z „piękną znajomą ciotki". Jest to jednak o tyle dziwne, że wątek przyjaźni z „pewną młodą, bardzo piękną dziewczyną, która niebawem miała odegrać w historii mego życia ważną rolę", jest obecny w następnych opublikowanych partiach pamiętnika.

Są też ingerencje zupełnie niezrozumiałe, niedające się wytłumaczyć żadną tendencją ideologiczną, ochroną dobrego imienia osób, instytucji, partii czy jakkol-

[18] Wiadomości o powojennych losach Krystyny Modrzewskiej na podstawie nekrologu w Biuletynie Okręgowej Izby Lekarskiej w Białymstoku, www.nil.org.pl/xml/oil/oil50/gazeta/numery/n2008/n200804/n20080415.

wiek pojętych interesów państwa, ale raczej tym, co określilibyśmy dziś mianem „polityki historycznej". Znacznemu skróceniu uległ na przykład – pasjonujący sam w sobie i opowiedziany z dramaturgicznym zacięciem – wątek nieudanej ucieczki przez góry. Wśród usuniętych przez cenzora fragmentów znalazł się nakreślony bezlitosną kreską portret „córki gospodarza, inteligentnej miłej dziewczyny" z Sanoka, która z mściwą satysfakcją opowiada – śmiejąc się przy tym – o Żydach zabijanych przez sowieckich pograniczników: „Strzelają do nich, a oni »do raju« i »do raju«!" Większość skreślonego tekstu wydaje się jednak mieć, by tak rzec, charakter cenzorsko neutralny.

Zdecydowanie przeważają jednak skreślenia fragmentów dotyczących pobytu Modrzewskiej u sióstr w podlubelskim klasztorze Betanek. Eliminowane są zapisy zawierające krytyczną ocenę mentalności zakonnic, ich poziomu umysłowego i moralnego. W oczach cenzora nie znajdują uznania uwagi o klasztornym życiu codziennym i dewocyjnych praktykach religijnych, o hipokryzji kleru i jego zmaterializowaniu. Cenzorska czujność jest tu szczególnie pobudzona. W tym obszarze mieści się blisko połowa wszystkich ingerencji. Tak jakby PRL-owska „poprawność polityczna" była w tym okresie wyjątkowo wyczulona na dbałość o wizerunek Kościoła katolickiego. Czy jednak uwagi o prymitywizmie i obłudzie prowincjonalnych zakonnic mogły naprawdę zepsuć ten wizerunek, kiedy w tym samym pamiętniku czytamy o decydującej roli lubelskiego księdza w ocaleniu autorki i jej matki?

Cenzorskie ingerencje w sferę doświadczeń religijnych autorki są tym boleśniejsze, że pamiętnik Modrzewskiej należy do nielicznej grupy świadectw ukrywania się dorosłych Żydów w klasztorach. Pomoc Kościoła katolickiego i klasztorów dla dzieci żydowskich ma już swoją literaturę przedmiotu. Osobną sprawą jest jej ocena: pisana najczęściej z pozycji apologetycznych przez duchownych, pomijająca odniesienia źródłowe bądź też odwołująca się do źródeł niewiadomego pochodzenia lub wytworzonych bardzo późno, problematyczna pod względem wiarygodności statystycznych obliczeń – wymaga krytycznego podejścia[19]. Jakkolwiek nie liczylibyśmy ukrywanych i zaangażowanych w pomoc zgromadzeń klasztornych, indywidualnych sióstr i księży[20], fakt, że wiele osób duchownych, narażając swoje

[19] Zob. studium Dariusza Libionki, *Polskie piśmiennictwo na temat zorganizowanej i indywidualnej pomocy Żydom (1945–2008)*, „Zagłada Żydów. Studia i Materiały" 2008, nr 4, s. 17–80. Autor osobne miejsce poświęca krytycznemu omówieniu literatury dotyczącej pomocy Kościoła katolickiego przede wszystkim dla dzieci żydowskich. Szczególnie wnikliwej analizy doczekały się prace Ewy Kurek-Lesiak – osoby, która niewątpliwie na ten temat napisała najwięcej.

[20] Ewa Kurek w książce *Dzieci żydowskie w klasztorach. Udział żeńskich zgromadzeń zakonnych w akcji ratowania dzieci żydowskich w Polsce w latach 1939–1945* (Lublin 2001) pisze o 37 spośród 74 istniejących zgromadzeń żeńskich, które ratowały dzieci żydowskie (na zaangażowanie 6 kolejnych miały istnieć „dowody pośrednie", 6 następnych zaś przechowywało wyłącznie dorosłych). Dzieci miały przebywać w 180 klasztorach i zakładach opiekuńczo-wychowawczych. Autorka przyjmuje, że dzięki pomocy duchowieństwa katolickiego uratowało się minimum 1200 dzieci. Polemizując z tymi wyliczeniami, izraelski historyk Nachum Bogner pisze o liczbie „kilkuset". Zob. krytyczna analiza statystyki Kurek

życie, przyczyniło się do ocalenia dzieci żydowskich, jest niezaprzeczalny. Często podnoszonym przy tej okazji dylematem moralnym jest kwestia pełnej rezerwy postawy żydowskich rodziców z jednej, a interpretowanych jako prozelickie postaw duchowieństwa z drugiej strony. Historycy powołują się tu na zapis Emanuela Ringelbluma o debacie środowisk żydowskich nad projektem ukrycia „kilkuset dzieci żydowskich w klasztorach". Cytuje się sprzeciw „kół ortodoksyjnych" oraz „pewnych sfer narodowych", obawiających się, że „dzieci zostaną wychrzczone i na zawsze będą stracone dla narodu żydowskiego". Podkreśla się przy tym, że nie doszło do żadnej konkluzji, „pozostawiając rodzicom żydowskim wolną rękę". Zapomina się jednak, iż ten fragment kończy się wyraźną pointą: „ Projekt powyższy nie został zrealizowany z powodu rozmaitych trudności, w pierwszym rzędzie z powodu słabego zainteresowania duchowieństwa polskiego sprawą ratowania dzieci żydowskich"[21].

W przypadku ludzi dorosłych w grę wchodzi autorefleksja ukrywających się w klasztorach, ich teologiczne rozważania, spektrum postaw zarówno wobec Boga i religii, jak też wobec Kościoła jako instytucji. Na jednym biegunie moglibyśmy tu usytuować autobiografię Oswalda Rufeisena[22], który w klasztorze sióstr zmartwychwstanek w Mirze żarliwie przeżywa swoje nawrócenie, na drugim zaś – Krystynę Modrzewską, która jako rzymska katoliczka doznaje głębokiego rozczarowania zgrzebną katolicką codziennością, dewocją zamiast duchowego przeżycia, instrumentalnym traktowaniem wiernych. Między tymi biegunami znajdziemy świadectwa pełne sympatii i wdzięczności, ale także akcentujące dystans, podejście życzliwie neutralne bądź krytyczne.

Czytając w wersji integralnej fragmenty pamiętnika Modrzewskiej dotyczące ukrywania się w klasztorze, warto się zastanowić, dlaczego osoba – która jako studentka uniwersytetu w Bolonii ochrzciła się, traktując ten akt niezwykle poważnie, a nie koniunkturalnie – przeżywa w klasztorze podlubelskim tak radykalne rozczarowanie. Dlaczego chce stamtąd uciekać, nazywając „piekłem" miejsce swego schronienia. Okres pobytu u sióstr i pracy w gminie zapamiętała Modrzewska także

---

w: D. Libionka, *Polskie piśmiennictwo na temat zorganizowanej i indywidualnej pomocy Żydom…*, s. 60–61. Według najnowszych ustaleń Elżbiety Rączy dotyczących Rzeszowszczyzny, siostry zakonne niosły pomoc dzieciom żydowskim w trzynastu klasztorach żeńskich, udzielali jej również księża (autorka wymienia z górą 40 nazwisk); jej zdaniem dzięki pomocy duchowieństwa Rzeszowszczyzny uratowano „kilkadziesiąt osób". E. Rączy, *Pomoc Polaków dla ludności żydowskiej na Rzeszowszczyźnie 1939–1945*, Rzeszów 2008, s. 71–81.

[21] E. Ringelblum, *Stosunki polsko-żydowskie w czasie drugiej wojny światowej*, oprac. A. Eisenbach, Warszawa 1988, s. 114–115. Tendencyjnie powołuje się na ten fragment Ewa Kurek, dokonując jawnej manipulacji – skraca bowiem cytat z Ringelbluma, opuszczając kluczowe dla jego wymowy ostatnie zdanie. *Dzieci żydowskie w klasztorach…*, s. 33–34. Niestety, dokładnie tak samo traktuje ten sam fragment z Ringelbluma Teresa Prekerowa – pomijając ostatnie zdanie, *eadem*, *Konspiracyjna Rada Pomocy Żydom w Warszawie 1942–1945*, Warszawa 1982, s. 192.

[22] O. Daniel Maria, od Najświętszego Serca Pana Jezusa karmelita bosy (Oswald Rufeisen), *Połknąłem haczyk Królowej Karmelu. Autobiografia*, oprac. J. Wanat, Kraków 2001.

w inny sposób – jako czas swobody i sytości spędzany wśród młodych. Porównanie swojej sytuacji do losu ciotki w getcie warszawskim wzbudza w niej poczucie winy. „Zapomniałam o niebezpieczeństwie, zapomniałam o śmierci. To była niesprawiedliwość" – zapisuje w pamiętniku.

* * *

Publikujemy wykreślone przez cenzurę fragmenty pamiętnika Krystyny Modrzewskiej. Tekst pominięty w wersji drukowanej w „Biuletynie ŻIH" (dalej BŻIH) złożony jest czcionką prostą (antykwą). Jest on wmontowany w poprzedzające go i następujące po nim fragmenty opublikowane w „Biuletynie ŻIH", które dla odróżnienia złożone zostały kursywą. Chodziło o to, by w miarę możliwości przywrócić integralność tych części pamiętnika, które stały się ofiarą cenzorskich ingerencji. Dzięki temu zabiegowi czytelnik będzie wiedział, w jakim kontekście pojawia się wykreślony przez cenzora tekst. W nawiasach kwadratowych umieszczono niezbędny komentarz dotyczący przebiegu wydarzeń opisanych w tekście, a nieobjętych niniejszym wyborem. Fragmenty wykreślone publikowane są według maszynopisu znajdującego się w Archiwum ŻIH (302/88) i według paginacji tego maszynopisu lokalizowane. Fragmenty opublikowane w „Biuletynie ŻIH" są lokalizowane według pierwodruku. Całość podzielona została na bloki tematyczne.

\- -

Obrona Lublina we wrześniu 1939: „nie przyjmowano zgłoszeń Żydówek"

W dniu, w którym ukończyłam 20 lat, bombowce niemieckie krążyły nad Lublinem i napełniały piękny, pogodny dzień wrześniowy niepokojącym i natrętnym warkotem. - - - - [BŻIH 1959, nr 31, s. 57]

- - - - - - Leżąc między rozrosłymi krzakami georginii naszego ogrodu oczekiwałam z godziny na godzinę rozkazów z jednostki P.W.[23] przy 8 p. piech., której podlegałam. Miałam przydział do kolumny sanitarnej jako szofer. Ciężko przyszło mi otrzymanie tego przydziału. Gdy w ostatnich dniach sierpnia 39 r. na murach ukazały się wezwania Głównej Komendy P.W. do ochotniczego stawiania się byłych „Peowiaczek"[24] – zgłosiłam się w pierwszym terminie. Miałam przecież pełne wyszkolenie ogólno wojskowe, stopień st. szeregowej i z czasów obozowych, z 1935 r. Krzyż

[23] W latach trzydziestych prowadzone w szkołach średnich przysposobienie wojskowe (PW) łączyło się ze szkoleniem na kursach i obozach oraz otrzymaniem świadectwa ukończenia przysposobienia wojskowego I lub II stopnia.

[24] Krystyna nie może mieć na myśli Polskiej Organizacji Wojskowej (POW, jej członków nazywano potocznie „Peowiakami") – powstałej w sierpniu 1914 r. z inicjatywy Józefa Piłsudskiego w wyniku połączenia działających konspiracyjnie w Królestwie Polskim grup Polskich Drużyn Strzeleckich i Związku Walki Czynnej. POW została rozwiązana rozkazem z 11 XI 1918 r. przez komendanta głównego Edwarda Rydza-Śmigłego. Chodzi jej niewątpliwie o kursy przysposobienia wojskowego (PW), które ukończyła.

Junacki. – Nasza Komenda mieściła się wtedy w biurach magistrackich. Urzędowała komendantka Zbysławowa, moja dawna przełożona. Zameldowałam się u niej. Kiedyś lubiła mnie i było jej przykro odmówić mi. Nie przyjmowano zgłoszeń Żydówek. A jednak Pani mnie zarejestruje p. Komendantko" odpowiedziałam spokojnie, „zamelduję się jutro powtórnie i pani mnie przyjmie…". Sprawa wydawała mi się zbyt ważna i chwila zbyt groźna, by się obrażać na te głupie ich szykany. Nie wahałam się. Na dnie szuflady naszego biurka leżała metryka chrztu. Była wystawiona przed kilkoma miesiącami w Bolonii, we Włoszech, gdzie zrealizowałam dawne moje zamiary oficjalnego wyznania wiary, której i tak hołdowałam. Uważałam to zresztą za sprawę czysto i głęboko osobistą i nikt, nawet rodzina moja, nie wiedziała o tym. Teraz jednak wybiła godzina wyjątkowa, decydująca, wymagająca gotowości poświęcenia nie tylko życia, ale i własnych ambicji i najskrytszych tajemnic. Zaniosłam tę metrykę do proboszcza najbliższego kościoła, który z pospiesznym zadowoleniem zalegalizował ten dokument, polecił wpisać go do ksiąg parafialnych i wystawił mi, przewidzianą polskimi przepisami – metrykę urodzenia. Następnego dnia zameldowałam się powtórnie u mojej komendantowej. Zostałam natychmiast zarejestrowana. Wylegitymowałam się również zielonym prawem jazdy i przydzielono mnie do kolumny. Teraz, licząc przelatujące bezkarnie niemieckie bombowce, czekałam z naiwną pewnością dalszych dyspozycji. Rozkazy jednak nie nadchodziły i nie nadeszły nigdy. Natomiast - - - - - - - - - - [maszynopis, s. 1–2]
- - - - - *Po 18-godzinnym ostrzeliwaniu i bombardowaniu Lublina 17 września 1939 r. Niemcy weszli do miasta.* [BŻIH 1959, nr 31, s. 57]

Próba wyjazdu do Bolonii: „Włochy nie chciały Żydów"

Otrzymaliśmy wiadomość od ciotki mojej z Warszawy. Przeżyła jakoś wraz z babką bombardowanie i mieszkają z powrotem w swoim nieuszkodzonym, ślicznym mieszkaniu na Żoliborzu. Jednym z pierwszych pociągów jakie uruchomiono na linii Warszawa–Lublin, pojechałam do nich. Właściwie nie tyle w odwiedziny, ile, aby rozejrzeć się po urzędach, zasięgnąć informacji w ambasadzie włoskiej, czy będzie możliwy powrót do Bolonii. Byłam tam na 3-cim roku przyrody i posiadałam ważny paszport i wizy. Szkoda mi było tracić rok akademicki. U ciotki mojej poznałam pewną młodą, bardzo piękną dziewczynę, która niebawem miała odegrać w historii mego życia ważną rolę. Jej zawdzięczam i to, że żyję, i to, że życiu swojemu pragnę nadać pewną wartość. Urzekła mnie pięknem swojej duszy i potem niejednokrotnie, w chwilach wielkiego zwątpienia, myśl o tym, że tacy ludzie istnieją, dodawała mi mocy do przetrwania zawieruch nieszczęść i zła, przez które przebrnęłam. W Warszawie załatwiłam niewiele. - - - - [BŻIH 1959, nr 31, s. 61]
- - - - - - Sekretarz ambasady robił wprawdzie takie rzeczy „na lewo" – jechać w zasadzie wolno było, ale moje nazwisko psuło sprawę. Włochy nie chciały Żydów. Zwróciłam się do ambasady szwajcarskiej. Ostatecznie mogłam kontynuować studia w Genewie. Kazano wypełnić mi formularz. Ponieważ była tam rubryka „wyznanie" i ponieważ wiedziałam, że to i tu jest decydujące – zrezygnowałam ze starań.

Za cenę przekonań nie chciałam kupować wizy. Byłaby to niewspółmierna cena. Zbyt szanowałam i siebie i to, w co wierzyłam. Koleżanka moja, absolwentka medycyny z Florencji, namawiała mnie na wyrobienie sobie fałszywych dowodów „aryjskich". Nie mogłam się na to zdobyć. Nie wyobrażałam sobie, jak można w ogóle mieć fałszywy dokument. Przecież to kryminał! - - - - - - [maszynopis, s. 8–9]
- - - - *Wróciłam do Lublina i na powrót wprzęgłam się w pracę szpitalną.* [BŻIH 1959, nr 31, s. 61]

Niezgoda na opaskę z Gwiazdą Dawida: „była dla mnie zbyt obcym symbolem"

Nie chciałam i nie mogłam przypiąć żółtej łaty. Wychodziłam swobodnie na ulicę. Nie bałam się. - - - - - [BŻIH 1959, nr 31, s. 62]
- - - - - Ta gwiazda była dla mnie zbyt obcym symbolem i zresztą odeszłam od tego symbolu bezpowrotnie, żadne głupie zarządzenie niemieckie nie zmusi mnie do noszenia cudzych znaków... Takie były mniej więcej sposoby mojego rozumowania. Dla mnie, wychowanej w Państwowym Gimnazjum, wśród polskiej młodzieży, w duchu niebanalnie patriotycznym, żydostwo oznaczało jedynie schorzały twór społeczny, wyrosły na ciele narodów, na skutek dawnych błędów natury religijno-historycznej. Ciemnota mas i chciwość kapłanów przed wiekami – skazała ten naród na rozproszenie... W moim pojęciu narodu takiego nie było, było wyznanie, a wszystko inne było sztuczną i lichą nadbudówką... Teraz, w dniach wojny, stałam oczywiście po stronie tych obcych sobie, nieznanych mas żydowskich, spotykałam się z nimi na placówce mojej pracy, pomagałam im w miarę możliwości, robiłam wszystko, co mi sumienie nakazywało, ale włożyć gwiazdę i paradować z nią? – Nigdy! Nigdy też nie włożyłam jej. Dziś cieszę się z tego, jakkolwiek z biegiem lat i wydarzeń zobaczyłam, zrozumiałam i boleśnie odczułam kardynalne błędy mojego ówczesnego rozumowania. - - - - [maszynopis, s. 10–11]
- - - - - *Znów kilka dni byłam w Warszawie. Przywiozłam sobie książki włoskie i czytam je wieczorami, jeśli nie ma „zebrania" na „porodówce".* [BŻIH 1959, nr 31, s. 62]

Próba ucieczki za granicę: „czemu ani odrobiny litości dla Żydów, a tyle nienawiści"

Wypadki ostatnich dni[25]*, jak również wiadomości od ojca mego, internowanego na Węgrzech, przyspieszyły moją decyzję przedostania się za granicę. W pokoju Czechów odbyliśmy walną naradę nad wielką mapą Beskidów, szpilkami zaznaczając trasę. Przewodnik milcząco przeczył głową na propozycję dr Grossmanna, nie zga-*

[25] W lutym 1940 r. przywieziono do szpitala żydowskiego w Lublinie transport deportowanych ze Szczecina Żydów niemieckich. Przesiedleńcy byli w strasznym stanie, skrajnie wycieńczeni, z odmrożeniami, maltretowani po drodze – umierali pomimo wysiłków lekarzy.

dzał się na drogę przez Czechy. Jest dłuższa i niebezpieczniejsza. Zawyrokował, że pojedziemy do Jasła. Zażądał 3.000 zł za przeprowadzenie mnie; umówiliśmy się na najbliższą środę. - - - - [BŻIH 1959, nr 31, s. 67]

- - - - - - Rozpoczęłam przygotowania do podróży. Wypchałam plecak bielizną i ubraniem, wzięłam koc, do kieszeni wiatrówki wrzuciłam dwie złote pięciorublówki na „wszelki wypadek". Sądząc, że tego właśnie najlepiej w ogóle nie chować. - - - - [maszynopis, s. 18]

- - - - *W umówioną środę, a mroźny, pogodny ranek ostatnich dni lutego, wyruszyliśmy.* - - - - - [BŻIH 1959/31, s. 67]

- - - - Z samego rana przyjechał po mnie do szpitala Sacewicz (przewodnik), zainkasował pieniądze, przyjął do wiadomości prośby mojej mamy o opiekę nad „jedynym co posiadam" i pojechaliśmy na stację kolejową. Nie odwróciłam się ani razu. W tyle została matka, pewno z zapłakanymi oczyma, szary budynek szpitalny, po brzegi wypełniony cierpieniem ludzkim, domy po obu stronach ulicy Lubartowskiej, domy pełne wystraszonych, jutra niepewnych ludzi. W tyle zostało miasto, jakieś brzydsze jeszcze i nędzniejsze niż zwykle. Kto wie, kiedy tu wrócę i czy wrócę kiedykolwiek. Może nigdy. „Nigdy" to jest bardzo złe słowo. Czynię sobie przelotne wyrzuty, ale zaraz uspokajam się. Matce ostatecznie nic złego się nie stanie. Mieszkanie i utrzymanie ma w szpitalu, zarabia trochę lekcjami jęz. niemieckiego. O wysiedleniu stąd mowy być nie może, bo skoro tutaj zwożą Żydów z Niemiec, to najlepszy dowód, że tu im będzie wolno pozostać. Zresztą dłużej jak do wiosny, do maja, może do czerwca, wojna nie potrwa. Ja tymczasem spotkam się z ojcem na Węgrzech, może pójdę dalej, do Włoch, a może nawet do Anglii. Postanowiłam i wychodzę oto naprzeciw swemu przeznaczeniu. Długie, nudne godziny w pociągu. „Odstawiam" siostrę Sacewicza i nazywam się Halka. Szczęście, że „brat" jest małomówny, bo nie cierpię tego imienia. - - - - [maszynopis, s. 18–19]

- - - - *Jedziemy przez Nisko, miejscowość wsławioną obozem dla Żydów. Był to zdaje się jeden z pierwszych obozów koncentracyjnych na naszym terenie. [przyp.] Nosił nazwę obozu pracy przymusowej, w istocie zaś był zwykłą, prowizoryczną, nie udoskonaloną jeszcze mordownią. Opowiadano straszne rzeczy o tym obozie, ale nikt w to nie wierzył. Nad ranem dnia następnego byliśmy w Jaśle. Dalszą drogę, wedle wskazówek restauratorów, odbywaliśmy chłopskimi saniami przez błękitnawe, oślepiające zaspy śniegu.* - - - - - [BŻIH 1959, nr 31, s. 67]

- - - - Tydzień spędziliśmy w Rymanowie, badając teren i przeczekując fatalne zawieje. Potem znów mroźny, prawie radosny pęd poprzez rozległą, biała płaszczyznę pól. Czuję się już prawie wolnym człowiekiem. Partyzancki dom chłopski w Nowotańcu – komórka przekradających się na Węgry oficerów W.P. Narady do późnej nocy, a rankiem znów wyjazd – droga do Sanoka. - - - [maszynopis, s. 19]

- - - - *Zatrzymujemy się w Sanoku, w gościnnym domu byłego podoficera marynarki; jest to nasza baza wypadowa. Nawiązujemy kontakt z grupą polskich oficerów i wspólnie organizujemy wyprawę. Ukraińcy węszą po kątach i trzeba się strzec. Umawiamy dzień, opłacamy przewodnika, pięknego chłopca Chodakowskiego, a tymczasem mój przewodnik Sacewicz idzie „macać teren" w stronę Cisny lub Krzy-*

wego. Czekając na jego powrót, spaceruje swobodnie po Sanoku. Żydzi zmiatają śnieg z ulic miasteczka. - - - - [BŻIH 1959, nr 31, s. 67]

- - - - Towarzysząca mi córka gospodarza, inteligentna, miła dziewczyna śmieje się „widzi ich pani? Jeszcze niedawno mówili, że kamienice nasze a ulice wasze, a teraz okazuje się, że te ulice są troszkę i ich, bo je muszą czyścić!" Idziemy nad San, skuty potężnymi okowami lodu. „Niech pani słucha. Po tamtej stronie są koszary Sowietów, o, jak śpiewają!" Istotnie, słychać dalekie, beztroskie śpiewy. „Strzelają, jak tylko ktoś usiłuje przejść przez rzekę" objaśniła mnie moja towarzyszka. „Z tej strony Niemcy, a tam oni... Ale Żydzi wciąż chodzą. Strzelają do nich, a oni „do raju" i „do raju"! Chodźmy wzdłuż brzegu, a pokażę pani niedaleko stąd leży Żydówka z rowerem... chciała przejść przez rzekę i zastrzelono ją. Będzie tak leżała do wiosny, bo któż by się odważył iść po ciało i zresztą po co?" widziałam tę zastrzeloną Żydówkę na lodzie i nieco dalej inny przymarznięty do środku Sanu kształt ludzki. Przed wieczorem poszłam sama do kościoła. Siedziałam spokojnie w ławce i zastanawiałam się czemu w sercach tych wszystkich ludzi nie ma ani odrobiny litości dla Żydów, a tyle nienawiści? Wychodząc czułam, że na pytanie to nie otrzymam odpowiedzi tam, skąd bym jej najbardziej pragnęła. - - - [maszynopis, s. 19–20]

- - - - *Sacewicz nie wrócił ani tego, ani następnego dnia. Na trzeci dzień wpadł do mnie jeden ze znajomych oficerów z wiadomością o aresztowaniu Chodakowskiego i o wielkiej obławie. Ulice miasta są obstawione żandarmerią i Ukraińcami, szukają po domach i zabierają wszystkich niemeldowanych oraz gospodarzy. „Uciekamy – oznajmił wreszcie tonem rozkazu – każdy osobno".* - - - - - [BŻIH 1959, nr 31, s. 67]

„Spotkanie wieczorem na następnej stacji kolejowej. Kogo będzie brakować – znaczy wsiąkł". Poszedł. Nie chciałam narażać moich gospodarzy, którzy i tak trzęśli się ze strachu. Wiedziałam już, że Sacewicz wpadł w ręce Niemców. Plecak zarzuciłam na ramię, wzięłam koc, pożegnałam się z gospodarzami, którzy byli pewni, że idę na śmierć. Szłam bocznymi uliczkami do Sanu, potem, poprzez pasa sięgające zaspy śnieżne, do toru kolejowego. Nie spotkałam ani jednego Niemca, nikt nie zaczepił mnie nawet. Szłam a raczej brnęłam przez śnieg. Serce pracowało z pośpiechem, raz po raz oblewałam się potem – śnieg miejscami sięgał mi do ramion. Szłam dużo godzin wzdłuż toru. Dziś, myśląc o tej drodze, wierzyć mi się nie chce, że mogłam ją przejść. Szłam nie siłami fizycznymi lecz wolą. Wieczorem, na małej stacyjce, której nazwy nie pamiętam – spotkałam tylko dwóch z grupy moich współtowarzyszy. Wsiedliśmy do pierwszego pociągu, który zatrzymał się na stacji i pojechali do Tarnowa. Tam rozeszły się nasze drogi. W bufecie kolejowym, nad kieliszkami czystej, długo ściskaliśmy sobie dłonie i wymieniali życzenia. Takie przeżycia łączą ludzi. - - - - [maszynopis, s. 20–21]

- - - - *Następnego dnia wróciłam z nieudanej wyprawy do Lublina.* - - - - [BŻIH 1959, nr 31, s. 67]

W Warszawie: „zaprzyjaźniłam się z piękną znajomą mojej ciotki"

W kwietniu wyjechałam do Warszawy. Mieszkałam na Żoliborzu u mojej ciotki. Wojny ze wszystkimi jej okropnościami jeszcze się tu nie odczuwało. - - - - [BŻIH 1959, nr 31, s. 68]

- - - Czytałam książki, uczyłam się francuskiego, szwendałam się po Warszawie, odwiedzałam znajomych. Ciotka kochała mnie bardzo, lecz pewnie nie więcej niż ja ją, tylko nie umiałam jej tego okazać. Mam ciężki charakter, trudny dla innych i dla siebie samej. Usiłowałam wiele rzeczy i wiele uczuć w życiu pokryć szorstkością niepotrzebną i bolesną. Czuję się winna, że utrudniłam, zatrułam ją mymi nieopanowanymi wybrykami te ostatnie miesiące spokojnego życia. Potem popełniłam w stosunku do niej cięższe jeszcze winy, które zaważyły na dziejach mego życia. Zaprzyjaźniłam się z piękną znajomą mojej ciotki, o której już tu wspomniałam. Mieszkała kilkaset metrów od naszego domu – bywałam u niej co wieczór i wspomnienia tych cowieczornych wizyt, tych cudownych spotkań z nieskazitelnym pięknem duszy tamtej dziewczyny, to wspólne błądzenie po wyżynach myśli, było dla mnie wielkim, nieporównanym, niepowtarzalnym i niezapomnianym szczęściem. - - - [maszynopis, s. 21–22]

- - - *W październiku 1940 r. kazano Żydom warszawskim przenieść się do dzielnicy mieszkaniowej, której wówczas nie wolno jeszcze było nazywać po prostu gettem. Skończyło się żoliborskie szczęśliwe życie.* - - - - [BŻIH 1959, nr 31, s. 68]

W Lublinie: „koleżanki przeważnie nie poznawały mnie"

[Ciotka przenosi się z Żoliborza do getta, Krystyna Modrzewska wraca do Lublina – J.L.]

Mój fałszywy dowód osobisty leżał bezużytecznie w walizce. Trudno mi było występować pod obcym nazwiskiem w mieście, gdzie mieszkałam kilkanaście lat i miałam mnóstwo znajomych. Chodziłam nadal bez opaski. Czasami po kilka dni nie wychodziłam w ogóle. - - - [BŻIH 1959, nr 31, s. 70]

- - - - Na ulicach moje dawne gimnazjalne koleżanki przeważnie nie poznawały mnie. Napotkana nauczycielka spytała, czemu nie noszę opaski. Byłam bardziej zdziwiona niż oburzona tym pytaniem. „Czy uważa pani, że należy stosować się do wszystkich zarządzeń niemieckich?" spytałam. „No, ale…" dużo czasu upłynęło, nim wreszcie zrozumiałam to polskie „ale". Nie przyszło mi to łatwo. Nie robiłam nic. A właściwie idiociałam i tępiałam z dnia na dzień, ale to nie jest zajęcie. Pisywałam listy do getta i to było zasadniczą treścią tamtych dni. Nie wiem, o czym mogłam wtedy pisać. Może o tych lepszych dniach, które były, może o tych, które nadejdą, w które coraz mniej wierzyłam? Może o smutnych, codziennych wypadkach? Nie wiem. Wiem tylko, że te listy były szczęściem dla mnie i także radością dla tych za murami, którzy je otrzymywali – serdeczna nić łącząca ze światem, z otwartą wolną przestrzenią. - - - - [maszynopis, s. 24–25]

- - - - W getcie warszawskim byłam raz, spędziłam tam kilka pierwszych dni lutego 1941 r. - - - - [BŻIH 1959, nr 31, s. 70]

W ukryciu u sióstr pod Lublinem: „»Klasztor« okazał się zwykłą walącą się chałupą"

[W dniach 10–14 marca 1941 wysiedlono z Lublina 9200 Żydów do różnych miasteczek powiatu lubelskiego. 20 marca gubernator dystryktu lubelskiego Ernst Zörner wydał zarządzenie o utworzeniu getta w Lublinie. Do 5 kwietnia pozostała w Lublinie ludność żydowska miała się przenieść na wyznaczony obszar. Matka Krystyny Modrzewskiej zwraca się o pomoc do znajomego księdza – J.L.]
- - - - idąc za radą księdza, wydobyłam z ukrycia moje „aryjskie dokumenty" i z dniem 15 marca 1941 r. rozpoczęłam żywot innego człowieka. Ksiądz polecił mnie pewnym siostrom zakonnym - - - - [BŻIH 1959, nr 31, s. 73]
----, przedstawił mnie właśnie będącej u niego przejazdem s. Helenie i następnego dnia miałam pojechać do zarządzanego przez nią domu nowicjackiego pod Lublinem. Umówiono się, że będę tam w charakterze kandydatki – postulantki, będę pomagać siostrom w sprawach administracyjnych i kancelaryjnych, tytułem zaś wyrównania za koszty utrzymania mego będę płacić 60 zł. miesięcznie. Była to wtedy dla mnie suma poważna, ale matka sprzedała pospiesznie jakiś kosztowny drobiazg, złotą szpilkę do krawatu czy coś w tym guście – wpłaciła siostrze około 200 zł. i oto na dłuższy czas miałam zapewnioną egzystencję. Było mi ciężko brać pieniądze od matki, obiecywałam sobie, że następne zarobię już własną pracą. Szybko przygotowałam się do podróży. Znałam życie klasztorne i cieszyłam się na myśl o nim. W Bolonii długi okres czasu mieszkałam w internacie sióstr Sacré Coeur, przeżyłam tam wiele pięknych i wzniosłych chwil. Poznałam tam głęboką rozkosz samotności i rozmyślań, ciszy i ekstazy. Poznałam tam ludzi pięknych i wartościowych, dobrych abstrakcyjną, idealną dobrocią. Kłamstwem są bujdy o rozpuście wielkich klasztorów. Nieprawdziwe i krzywdzące jest pojęcie o umysłowym ograniczeniu i ciemnocie, ucisku wolnej myśli, ignorancji, dewocji. Widziałam w klasztorze umysły świetne, charaktery nieskazitelne, dusze ofiarne, pełne wielkiego ukochania ludzi. I cieszyłam się na myśl bliskiego zetknięcia się z tym środowiskiem pełnym łagodności, ciszy i pogody. Pragnęłam wypoczynku, odprężenia nerwów, całkowitego pogrożenia się w atmosferze czysto, idealistyczno chrześcijańskiej. Odpocząć po tych strasznych wydarzeniach wojny, z dala od niej, w ciszy ogrodów klasztornych, wśród bieli milczących korytarzy, chłodnych sal, wśród rozmów pokrzepiających. Z takim mniej więcej nastawieniem wsiadałam do wieczornego pociągu, który po półgodzinnej jeździe zostawił mnie na małej zupełnie ciemnej stacyjce. S. Helena czekała na mnie – z trudem odnalazła w ciemności, załadowała na furmankę i pojechałyśmy wyboistą szosą. Rozpoczęła się długa seria rozczarowań. „Klasztor" okazał się zwykłą walącą się chałupą wiejską, stojącą w małym ogródku nad wielkim bajorem. Oprócz s. Heleny były tam jeszcze tylko dwie zakonnice, malutka, tłusta s. Maria i chuda s. Marta o żółtej twarzy i złych oczach. Powitały mnie pocałowaniem w ramię

i zniknęły w mrokach sionki. Zostawiono mnie w jakiejś wielkiej, prawie pustej izbie, oświetlonej mizerną, naftową lampką. Olbrzymie granatowe cienie nieprzyjemnie drgały na ścianach. Całą noc nie zmrużyłam oka. A potem nastąpił dzień, a za nim pobiegły inne, ułożyły się w tygodnie, w miesiące. Pierwszym moim zajęciem było tłumaczenie i pisanie listów do jakiegoś niemieckiego urzędu, z którym siostry miały do czynienia. Kilka dni pociłam się nad tą korespondencją i załatwiłam ją wreszcie ku wielkiemu zadowoleniu S. Heleny. Następnie posłano mnie do kościoła i z racji odbywających się tam rekolekcji musiałam przesiadywać tam po kilka godzin dziennie. Ksiądz – misjonarz ględził i nudził, plótł bzdurne jakieś opowiadanka, histeryzował na ambonie. Siostry siedziały jak urzeczone, baby wiejskie ocierały łzy rozrzewnienia… Czułam się tak, jakby coś ciężkiego spadło mi z dachu na głowę. Pierwszy raz w życiu znalazłam się w podobnie mało wymagającym otoczeniu i pierwszy raz słyszałam podobnie idiotyczne kazania. Nie przypuszczałam, że to tak może być, że moja piękna prawda tak wygląda „na co dzień", w rodzimym wydaniu. Te kilkudniowe, błazeńskie rekolekcje były jednak tylko wstępem do moich zadziwień, rozczarowań i oburzeń. Zostałam przedstawiona ks. misjonarzowi i staruszkowi ks. proboszczowi. Trzeba było w zgodzie ze swoją rolą i napomnieniami sióstr – całować tych „ojców duchowych" po łapach. Przekonałam się niebawem, że nie są oni tak głupi, jak ich kazania. Byli to zwykli oszuści, świadomie cyganili ten tłumek kożuchów i chust, wyciskali łzy wzruszenia i grosze, w duszy zaśmiewając się z własnych „tricków". Myślałam jednak, że to tylko miejscowe jakieś niezdrowe stosunki i postanowiłam w ogóle się tym nie przejmować. S. Helena dbała o to, aby mi nie zabrakło pracy i byłam jej za to wdzięczna. Prowadziła ona kursy krawieckie i do obowiązków moich należało dyktowanie uczennicom jaki[ch]ś koślawo w grubym notesie ponotowanych „zasad nowoczesnego kroju". Trwało to znów kilka dni, było śmiertelnie nudne. Wywiązałam się jednak i z tej pracy. Dopiero następne polecenia rozpoczęły serię moich strapień. Uczennice krawieckie sióstr wykończyły w sobotę wieczór kilka koszul męskich i wykańczały jakieś komicznie skrojone sukienki – polecono mi uprasować koszule… Wstydziłam się przyznać, że nigdy nie prasowałam. Zaczęłam to robić b. niezdarnie. Przypaliłam przód jednej koszuli, wywołując tym uśmiechy „panien" i gniew S. Heleny. Powiedziałam, że wolę rąbać drzewo, niż prasować… Odpowiedziano mi, że cnotą jest posłusznie wykonywać każdą pracę, przychylając się jednak do mego wniosku, zaraz następnego dnia polecono mi rąbanie drzewa. Nie mogę się jednak pochwalić, aby mi ta praca szła b. zręcznie. „Panny" – tęgie wiejskie dziewczyny zaśmiewały się przechodząc przez podwórko. „Źle, ot, tak się trzyma siekierę…" uczyły mnie. S. Helena uśmiechała się zjadliwie, przymykała oczy i kiwała z politowaniem głową. „Pani umie tylko piórem ruszać" powiedziała mi wreszcie pewnego wieczoru. „Jakaż jestem wdzięczna moim rodzicom, że mnie tak wychowali, że znam każdą pracę… Cóż? Myślałam, że pomoże pani w szwalni, ale panią nie nauczono nawet uczciwie trzymać igłę. Od jutra wezmę S. Marię do szycia – pani pójdzie do kuchni. Jedzenie u nas proste, ale punktualnie na 12-tą ma być obiad…" Zaczęło się moje kucharzenie. Jedzenia były istotnie niewyszukane. Robiło się polewkę z żytniej mąki na śniadanie, obiad i kolację,

czasem kartofle lub kaszę na niedzielną zupę ogórkową lub grochówkę. Prócz tego należało gotować i tłuc kartoflane obierzyny dla świń, jakąś papkę dla kozy i mieszać stare ogryzki z nowymi pomyjami dla chudego, śmierdzącego psa. Najtrudniej było rozpalić w ogóle pod kominem, dymiło się i gasło, należało oszczędzać drzewo. Potem szorowało się te wszystkie osmolone gary, myło talerze, robiło porządek. Koło 3-ciej chodziłam „popilnować" pasącą się kozę i wolno mi było przy tej okazji poczytać jakąś książkę z biblioteki religijnej Sióstr. Poznałam też z wielką dokładnością żywoty wszystkich bardziej znanych świętych. To czytanie przydawało mi się potem niejednokrotnie, w niedzielnych „pogawędkach" z Siostrami, i później, w czasach moich wędrówek „po aryjskiej stronie". Polecono mi po kolacji mówić pacierze wspólnie z Siostrami. Pacierze trwały około 40 minut – kolana bolały mnie nieznośnie, bezmyślny sposób klepania modlitw – raził mnie. Rano, o 6-tej szłam z siostrami do kościoła. W czasie obiadu czytałam „Naśladowanie Chrystusa" Tomasza á Kempis – nikt tego nie słuchał i nikt nie rozumiał. Siostry stale kłóciły się między sobą, wymyślały sobie od „ulicznic". Otwierałam szeroko oczy i wydawało mi się, że to wszystko dzieje się w jakimś ponurym, zgrzytliwym śnie. Siostry okłamywały się i okradały wzajemnie. S. Helena, jako starsza, „za karę" nie pozwalała dać jeść którejś z młodszych sióstr, względnie kazała jej jeść klęcząc. Ukarana wykradała chleb z kredensu. A w środku tego bałaganu – byłam ja. S. Helena przypuszczała, że zrobi ze mnie swoje „oko i ucho". Nie nadawałam się do takiej roli. Szłam na rękę raczej „ukaranym" siostrom, gdyż były one przeważnie zupełnie niewinne. Nie wolno mi było zresztą mieć swego zdania. Miałam gotować i milczeć. S. Helena podsłuchiwała pod drzwiami, zjawiała się nagle, jak ucieleśnienie podstępu i zła. Usłyszałam od niej niejedno przykre, obraźliwe słowo. Umieszczono mnie w małym pokoiku z dwoma dziewczynkami. Jedna była zupełną sierotą, gruźliczka, wychowywana przez Siostry. Uczciwe, nieszczęśliwe stworzenie. Druga była b. uczennicą Sióstr, teraz po krwotoku płucnym leżała u nich, aby być pod opieką miejscowego lekarza. Nie wolno mi było rozmawiać z tymi dziewczynami, bo Siostra obawiała się plotek. Ciągle bała się plotek, ciągle gdzieś się ich dopatrywała, sama plącząc ustawicznie siateczki lichych, 2-groszowych intryg. Później, kiedy ojciec zabrał chorą do domu, zostałyśmy we dwie z Agatką – wychowanicą Sióstr. Miała 16 lat i otwartą gruźlicę. Siostra Helena biła ją, łamała na niej kije, często w mojej obecności. Nie pojmuję dziś, jak mogłam patrzeć na to, z rozdygotanym sercem wprawdzie, ale bez słowa, bez najlżejszej reakcji. Byłam przygnębiona, przygnieciona tym wszystkim, zmęczona, zdezorientowana.

Zaczęłam myśleć o ucieczce z tego piekła. Ale dokąd? Męczyłam się; ostatecznie byłabym pewnie uciekła, wróciła do Lublina i zginęła na Majdanku, gdyby nie następujący wypadek. - - - - [maszynopis, s. 30–35]

- - - - W końcu maja 1941 r. zjechały do naszej wioski zielone, groźne „budy" z żandarmami niemieckimi. Rozpoczęły się aresztowania. Zabrano dwóch młodych księży, wójta i sekretarza gminy, nauczycielkę, która była jednocześnie tłumaczką przy Zarządzie Gminnym, kilku gospodarzy. Kilka dni potem s. Helena wróciła z Urzędu Gminnego z tajemniczą miną i przez cały dzień okazywała mi niezwykłą łaskawość.

Wieczorem powiedziała mi, że w Urzędzie Gminnym poszukują pilnie tłumaczki i że ona obiecała pomówić ze mną w tej sprawie. - - - - [BŻIH 1959, nr 31, s. 73]

Praca w Gminie: „siostry były uprzejme i słodkie"

[Modrzewska zostaje zatrudniona w Urzędzie Gminnym – J.L.]
Obiecano mi płacić dniówkę w wysokości 5 zł; praca trwała od 8-ej do 4-ej z przerwą godzinną na obiad. Miałam ją rozpocząć natychmiast. Przedstawiłam się urzędnikom za kontuarem, jedna z pań, młoda, chuda panna Marysia, w bladoróżowym sweterku, z blado-żółtą twarzą o blado-niebieskich oczach, zaopiekowała się mną i zaczęła wtajemniczać w trudna sztukę pisania na maszynie. Zaczęłam się pocić nad pismami i układaniem odpowiedzi na nie. Szło początkowo dość opornie, ale jakoś z tego wybrnęłam. - - - - [BŻIH 1959, nr 31, s. 73]
- - - - Polewka obiadowa u Sióstr smakowała mi tego dnia wyśmienicie. Prawdopodobnie dlatego, że nie ja ją przyrządzałam. Siostry były uprzejme i słodkie. Były to głupie, proste baby i godność wiejskiego urzędnika imponowała im. Prócz tego liczyły na moją pomoc u władz gminnych, od których były uzależnione w całym szeregu spraw gospodarczych. Zaczęło mi się lepiej wieść. - - - - [maszynopis, s. 36]
- - - - Praca w Gminie była dość interesująca, wprawiałam się w języku niemieckim, pisałam coraz bieglej na maszynie, większą część dnia spędzałam poza domem sióstr. - - - - [BŻIH 1959, nr 31, s. 74]

Obieranie kartofli, cerowanie skarpet, nauczanie religii, pisanie podań

[Modrzewska zostaje rozpoznana przez szwagierkę sekretarza Gminy, która zapamiętała ją z gimnazjum w Lublinie – J.L.]
Znajdowałam się zaledwie o 16 km od Lublina i takie spotkanie mogło mi grozić w każdej chwili. Naraziłabym nie tylko siebie, ale siostry i księdza, który mnie protegował. Należało raczej unikać spotkań z ludźmi, ukryć się bodaj z powrotem w kuchni sióstr. Po krótkim zastanowieniu porzuciłam pracę w Gminie. Nie wolno mi było ryzykować. - - - - [BŻIH 1959, nr 31, s. 74]
- - - - Siostry w zasadzie pochwalały to posunięcie, ale chodziły milczące i szeptały po kątach. Chętnie byłyby się mnie pozbyły, ale liczyły się z księdzem, który mnie protegował i który miał wielkie znaczenie w kurii biskupiej. Zaczęłam znów obierać wielkie wiadra kartofli i nosić żarcie świniom. Siostry przyjmowały wtedy szycie dla kwaterujących Niemców oraz stosy ich skarpet do cerowania. Zasadzono mnie na 12 godzin dziennie do cerowania niemieckich skarpet. Za cerę brało się od 50 gr. do 2 zł. Całość należności inkasowała oczywiście S. Helena. Powiedziała mi, że bierze mój zarobek, bo i tak trzyma mnie prawie darmo, że liczyła „inaczej, a wszystko wypadło inaczej" i że od następnego miesiąca podwyższa mi opłatę z 60 zł. na 120 zł. Inaczej nie może. Sądziła, że wygórowane na owe czasy i warunki żądanie zmusi mnie do wyjazdu. Ale ja nie miałam przecież dokąd jechać. Zawzięcie cerowałam skarpetki i rozmyślałam nad zdobyciem tych 120 zł. miesięcznie.

Przypadek znów przyszedł mi z pomocą. Ks. proboszcz zwrócił się do Sióstr z prośbą, aby w zastępstwie aresztowanych księży wikariuszy i z powodu jego własnych niedomagań – poprowadziły katechizację dzieci, mających przystąpić do I komunii. Przez miesiąc codziennie 2 godziny lekcji. Płatne z funduszów parafialnych. Siostry zajęte krawieczyzną i gospodarstwem, zresztą mające poważne trudności z czytaniem i pisaniem, nie chcąc jednak odmówić proboszczowi – mnie poruczyły to zadanie. Zaczęła się katechizacja. Lekcje odbywały się, z braku innego miejsca, w kaplicy cmentarnej. Codziennie po obiedzie wpychałam w około trzydziestkę, z małymi wyjątkami, tępych głów – wiadomości z zakresu przykazań boskich i kościelnych, cnót i grzechów. Sumiennie uczyłam te bachory rzeczy, których sama nauczyć się nie chciałam, pamięciowego wkuwania napuszonych formułek, będących bolesnym zeszpeceniem prostej, bezpretensjonalnej prawdy. Słowem, wedle wszelkich przepisów i ku chwilowemu zadowoleniu Sióstr – ogłupiałam te matołki.
Od czasu do czasu ktoś przynosił jakiś list czy podanie do napisania po niemiecku i dawał mi za to 5 zł. Składałam te pięciozłotówki, ale do 120 zł. ciągle jeszcze brakowało. A nadchodził 1-wszy nowego miesiąca. U sióstr zaczął stołować się komisarz miejscowej placówki spółdzielni rolniczo-handl. Był to inteligent, były ziemianin z Wołynia, miły, starszy pan, który po jakimś czasie znajomości zaproponował mi sezonową, dniówkową pracę w swoim biurze. Zgodziłam się skwapliwie i znów odetchnęłam trochę od ucisku i zmiennych humorów Sióstr. - - - - - [maszynopis, s. 37–39]
- - - - *Potem pracowałam przy rozkładaniu kontyngentu zbożowego, pisałam i przepisywałam długie kolumny cyfr, liczyłam, pisałam i dni jakoś schodziły. Dostawałam 9 zł dziennie i trochę śmielej patrzyłam w najbliższą przyszłość.* - - - - [BŻIH 1959, nr 31, s. 74]
- - - - Zaczęłam jadać razem ze stołownikami Sióstr t.zn. po ludzku. Osłabła kontrola Sióstr nad każdym moim krokiem; zaczęłam coraz częściej i swobodniej wymykać się na spacery. Zaprzyjaźniłam się z Marysią urzędniczką gminy i koleżanką jej Stachą. Wypiłyśmy „bruderschaft", spotykałyśmy się kilka razy w tygodniu – bywało nam wesoło i całkiem beztrosko. Każdego chłopa, który przyszedł do gminy i potrzebował jakąś prośbę, podanie czy pismo niemieckie, dziewczęta odsyłały do mnie, do t.zw. „klasztoru". Dzięki nim, nawet wtedy, gdy skończyła się praca w biurze kontyngentowym, nie potrzebowałam martwić się o pieniądze. - - - - [maszynopis, s. 39]
- - - - *Zarabiałam podaniami 5–10 czasem nawet 15 zł dziennie, płaciłam siostrom.* - - - - [BŻIH 1959, nr 31, s. 74–75]

Praca i życie u sióstr: „zapomniałam o niebezpieczeństwie, zapomniałam o śmierci"

[Modrzewska koresponduje z ciotką mieszkającą w getcie warszawskim – J.L.]
Im było tam źle, a ja? Ja uganiałam się po łąkach i błoniach, znałam wszystkie ścieżki polne, śmiałam się między młodymi, byłam swobodna, wolna, syta. Zapomnia-

łam o niebezpieczeństwie, zapomniałam o śmierci. To była niesprawiedliwość. Pocieszałam się jednak wiarą w to, że po skończonej wojnie wyrównają się jakoś te ich złe lata, byle przetrwali… Nie wątpiłam, że przetrwają i dalej prowadziłam żywot spokojny, korzystając z wszystkich rozkoszy wsi. Umiałam trochę rysować i gdy do Gminy przyszło zarządzenie o sporządzeniu planów wszystkich kuźni, znajdujących się na terenie gminy, zostałam „technikiem" i zaczęłam rysować te plany. - - - - [BŻIH 1959, nr 31, s. 75]

- - - - S. Helena pożyczyła mi metalowy metr, kupiłam w Lublinie buteleczkę tuszu i rozpoczęły się moje wędrówki po kuźniach. Wędrowałam, pogwizdując wesoło, choć fałszywie, wymierzałam skrupulatnie zadymioną kuźnię, odległość jej od zabudowań, od szosy, od miedzy, według przepisy starościńskiego. Potem pojono mnie mlekiem lub częstowano owocami, płacono bez gadania 50 zł. i ruszałam dalej. W domu rysowałam plany, obciągałam je tuszem i zanosiłem do gminy, gdzie uwierzytelniano i wędrowały do Starostwa, do zatwierdzenia. - - - - [maszynopis, s. 40]

- - - - *Czułam się strasznie dumna. 50 zł to już nie dawne piątki za nudne podania! Ale tych kuźni zbyt wiele w naszej gminie nie było i moje wspaniałe zarobki rychło się urwały.* - - - - [BŻIH 1959, nr 31, s. 75]

- - - - Wpłaciłam Siostrom 240 zł. za dwa miesiące naprzód, podzelowałam buty i zostałam z kilkoma złotymi w kieszeni. Oczywiście nie przejmowałam się tym, bo właściwie poza t.zw. „życiem" na wsi nie było na co ich wydawać. Wydałam raz trochę groszy na odpuście – sfotografowaliśmy się z Marysią na tle anielskiej wilii wśród włoskich cyprysów i polskich chorągiewek na kwadratowym, popękanym płótnie. Na odpustowej loterii wygrałam jakieś pstre cacko i podarowałam je Agatce – mojej „sąsiadce" u Sióstr. No i oczywiście zjadło się masę lodów, wcale nie zważając na dziwaczny ich smak i kolor. Ale odpust bywa rzadko i pieniądze nie są wcale potrzebne. Ponieważ kolację jada się w „Domu nowicjackim" o 6-tej, S. Helena udzieliła mi pozwolenia na wychodzenie z domu i po kolacji. O 8-ej jednak musiałam być z powrotem. Spóźnienie się miało spowodować cofnięcie łaskawego zezwolenia. Do za 15 8-a przesiadywałam z Marysią, Stachą i całym młodym towarzystwem, t.zw. „złotą młodzieżą" wsi, na grobli lub w ogródku, przed domem Marysi, względnie u Stachy słuchało się płyt, opowiadało anegdoty, a nierzadko wypijało kilka kieliszków wódki. Przed 8-ą zrywałam się jak kopciuszek z bajki i gnałam do domu. - - - - [maszynopis, s. 40–41]

- - - - *W dniu moich urodzin pojechałam na cały dzień do Lublina, do matki.* - - - [BŻIH 1959, nr 31, s. 75]

Ciężka zima 1941/1942

[Modrzewska wspomina podwieczorek, który z okazji jej 22. urodzin urządziła w lubelskim getcie zaprzyjaźniona rodzina Żydów ze Szczecina – J.L.]

Wierzyłam, że ci moi mili, dobrzy, piękni ludzie przetrwają jakoś i wrócą do swych domów. - - - - [BŻIH 1959, nr 31, s. 76]

- - - - Ciężka była zima 1941–1942 roku.
Mieszkałam z Agatką w nieopalanym, dużym pokoju. Rano bielone, niebieskawe ściany srebrzyły się od śniegu. Woda w miedniczce zamarzała przez noc. Miałam dotkliwie odmrożone nogi i idąc za radą którejś z Sióstr, owijałam je, przed wciągnięciem butów, gazetami maczanymi w nafcie. - - - [maszynopis, s. 42]
- - - - *W grudniu 1941 r. mój znajomy – komisarz „od kontyngentów" zaproponował mi wykonanie pewnej pracy z ramienia Spółdzielni Rolniczo-Handlowej. Miano mnie wydelegować na teren gminy jako kontrolerkę strzyży końskiej.* - - - - [BŻIH 1959, nr 31, s. 76]

Interesy na końskim włosiu i zmiany w klasztorze: „miałam wolność nieograniczoną"

Strzyże w naszej gminie trwały około 15 dni, odstawiłam ponad 25 metrów włosia, a zarobiłam około 200 zł! Popełniłam również pierwsze w mojej karierze koniarskiej, która się później rozwinęła, nadużycie. Ściągnęłam bowiem z jednego z wozów około 3 kg włosia, wielce poszukiwanego przez szczotkarzy lubelskich, i sprzedałam je „na lewo", biorąc po 70 zł za kilogram![26] Byłam bogaczką. Miałam opłacone mieszkanie i utrzymanie i kilkaset złotych w portfelu. - - - - [BŻIH 1959, nr 31, s. 77]
- - - Pieniądze te umożliwiły mi kupienie kilku podarków gwiazdkowych i zabawienie się w św. Mikołaja. Ubrana w olbrzymią burkę, z maską na twarzy i workiem na plecach, przebrnęłam przez zaspy śnieżne do domu Marysi i zastukałam kijem w okno, właśnie w chwili, gdy cała rodzina zasiadała do wieczerzy wigilijnej. Co tam było wesołości starszych i pisku dzieci! Potem zrzuciłam w sionce strój św. Mikołaja i zasiadłam z nimi do stołu. Serdecznie polubiłam ich wszystkich i dobrze czułam się w tym prostym, chłopskim domu. Matka była gościnną, dobrą kobietą, ojciec – siwiuteńki, 70-cioletni staruszek miał prawdziwy „chłopski rozum", był dowcipny i prześlicznie opowiadał różne historie z dawnych lat; dawne zdarzenia i przygody. Lubiłam brata Marysi – Adamka, wielkiego, poczciwego dryblasa, właściwego gospodarza i parobka zarazem. Miał olbrzymie, spracowane, twarde ręce i uśmiechnięte, niebieskie oczy dziecka. Lubiłam drugiego brata – Antka – wesołego dowcipnisia, pierwszego śpiewaka we wsi, który wprawdzie bijał się na zabawach, tłukł żonę w domu, pędził bimber i sam go wypijał, ale był chłopcem o złotym sercu. Lubiłam najstarszego z nich – Janka, który mieszkał w innej wsi i tylko w niedzielę, przyjeżdżając z żoną i dzieciakami do kościoła, wstępował do rodziców. Miał ślicznego synka i głupawą córkę, chrześnicę Marysi, a przede wszystkim ładną żonę Helcię, za którą wodził zakochanymi oczyma, ku uciesze nas wszystkich. 20 lat po ślubie zachowywali się jak para narzeczonych. Bywałam często w ich domu, czułam się tam dobrze, przywiązałam się do tych ludzi. Marysia wiedziała o mnie wszystko. Powiedziałam jej sama, wiedziona jakimś podświadomym, intuicyjnym

[26] „Mnie w czasie wojny nazywano Kantermacher. Od robienia kantów" (www.tnn.pl/himow_osoba.php?idho=129).

przekonaniem, że powinnam i mogę jej zaufać. Nie omyliłam się. Dochowała wiernie tajemnicy, okazała mi wiele pomocy i wiele życzliwości.
W moim „klasztorze" zaszły tymczasem pewne zmiany. Siostry z S. Heleną na czele odwołano na inną placówkę, do Nałęczowa, a do nas przybyła S. Jadwiga, jako starsza, S. Władysława i S. Paula. Siostra Władysława była nudna, skąpa i stale zasmarkana, a s. Paula hałaśliwa i skrzecząca, ale zmiana ta była bezwzględnie pomyślna. Pokrótce zmianę tę można scharakteryzować tak: było mniej krzyku, a więcej jedzenia. S. Jadwiga była spokojna i opanowana, przytem do mnie osobiście dość życzliwie usposobiona. Miałam wolność nieograniczoną. Dawałam synkowi zastępcy sekretarza gminnego lekcje niemieckiego, pisywałam chłopom podania do starostwa o przydział drzewa budowlanego, z grzeczności prowadziłam rachunki gospodarskie sióstr i przesiadywałam wieczory u Marysi, gawędząc, pijąc mleko, którym mnie matka jej zawsze częstowała, względnie wódkę, gdy zebrało się trochę liczniejsze towarzystwo, przychodziła siostra Marysi – sklepowa z sąsiedniej wsi, kilku chłopców, ktoś z kolegów gminnych. - - - - [maszynopis, s. 44–45]
- - - - *Minęła zima. Wiosna 1942 r. rozpoczęła się niewesoło. Któraś z sióstr wróciła pewnego dnia z Lublina ze wstrząsającymi wiadomościami. Stosy trupów leżały na ulicach, od kilku bowiem dni odbywały się w mieście masowe rzezie Żydów.* - - - - [BŻIH 1959, nr 31, s. 77]

Likwidacja getta w Lublinie: „siostry chcą mnie się pozbyć"

[W obliczu likwidacji getta w Lublinie – deportacje do Bełżca zaczęły się 17 marca i trwały z przerwami do 20 kwietnia 1942 r., pochłaniając ok. 30 tys. Żydów – Krystyna Modrzewska szuka pomocy dla swojej matki u znajomego księdza. Ten najpierw zatrzymuje matkę u siebie na plebanii, potem posyła ją do prowadzonego przez siostry domu w Międzylesiu pod Warszawą – J.L.]
Matka zamieszkała tam jako samotna starsza pani, wdowa i wysiedlona. Chwilowo mogłam być o los jej spokojna. Ale był to spokój pełen obaw, pełen dręczących niepewności. - - - - [BŻIH 1959, nr 31, s. 78]
- - - - Stosunek Sióstr do mnie, w miarę zaostrzania się sytuacji i wzmożonych prześladowań Żydów – stawał się wyraźnie negatywny. Widziałam wyraźnie, że chcą mnie się pozbyć. Może bały się – nie wiem. Wiem tylko, że były b. przykre. - - - [maszynopis, s. 47]
- - - - *W tym czasie znów zatrudniono mnie w Gminie, nie jako stałego urzędnika, lecz jako maszynistkę do wypełniania wprowadzonych właśnie kart rozpoznawczych („Kenkart"). Nie mając innego wyboru, zaryzykowałam, musiałam zarabiać.* - - - - [BŻIH 1959, nr 31, s. 78]

Chłopi grabią mienie mordowanych Żydów: „czuję się winna, że żyję"

[Modrzewska wraca do „domu nowicjackiego" z krótkiego pobytu w małej gminie za Ostrowem Lubelskim i ponownie zostaje zatrudniona w miejscowym urzędzie.

W tym okresie Niemcy przeprowadzali masowe egzekucje lubelskich Żydów w lasach koło Krępca. Może tu chodzić o rozstrzelanie 20 kwietnia 1942 r. ok. 1200 osób, które przesiedlone z likwidowanego getta w Lublinie, znalazły się na terenie Majdana Tatarskiego bez ważnych dokumentów. Następna egzekucja w lasach krępieckich miała miejsce 2 września 1942 r. Część z ok. 1000 osób zabranych z Majdana Tatarskiego wysiedlono do Piasków, część rozstrzelano w lesie koło Krępca[27] – J.L.]

Żydzi prowadzeni na śmierć porzucali w lesie pieniądze i kosztowności; był to już niepotrzebny balast na tę ostatnią drogę. Często rwali pieniądze, by Niemcy nie mieli z nich korzyści, skoro im stały się już wcale niepotrzebne. Były to normalne odruchy rozpaczy graniczącej z szaleństwem. Okoliczni chłopi skwapliwie zbierali te podarte banknoty, zlepiali je mąką i przynosili do Gminy, aby spłacić zaległości podatkowe. Tak lekko przychodziły te pieniądze, że można było nimi zapłacić nawet podatki. Baby krępieckie z dzieciakami pilnie myszkowały na drodze, przez którą przechodziły partie Żydów, znajdowano tam niekiedy pierścionki i kolczyki, zegarki, monety złote, fotografie… W szkole krępieckiej chłopcy bawili się „zdobycznymi" żydowskimi pierścionkami i bransoletą. Kierownik szkoły zobaczył to i zabrał, rzucił gdzieś daleko za budynki szkolne. „Wstyd, grzech!" – wołał do swoich wychowanków – „Na tych rzeczach jest krew ludzka, nie ruszajcie tego!" Ale niewielu podzielało jego zdanie. - - - - [BŻIH 1959, nr 31, s. 80]

- - - - Niemcy zabijali „tych śmiesznych Żydów i rozwrzeszczane żydówy" , więc czemu Polacy nie mieliby skorzystać? I korzystali ile się dało. Chłopi z workami chodzili na miejsce straceń, za 1/2 litra wódki pilnujący Ukrainiec pozwalał im wziąć kilka sztuk ubrania z wielkich stosów, piętrzących się nad rowami. Wykupywano, wykradano ubrania pomordowanych. Wyrostki wiejskie od rana czatowały za drzewami, przyglądały się nadjeżdżającym transportom, spokojnie wysłuchiwały strzałów i krzyków, potem podkradały się pod kupy bezładnie, w śmiertelnej trwodze porozrzucanych ubrań, chwytały, co się dało i uciekały. Czasami Ukraińcy strzelali za tymi złodziejaszkami – dwóch chłopców zabito. Ukraińcy po „pracy" szli do najbliższych chałup ochłodzić się, wypocząć, napić trochę mleczka. Gospodynie obsługiwały ich ochoczo, a gospodarze gwarzyli przymilnie, częstowali bimbrem i tytoniem, wypraszali to parę garniturów, to jakieś buty żydowskie, to znów pozwolenie na podjechanie furmanką w głąb lasu i wyzbieranie tych różnych rupieci, walizek, teczek i innych, jak mawiali „cymesów". Pytali odchodzących siepaczy, czy jutro też przywiozą Żydów… Przeżywałam ciężkie dni. Wysłano mnie raz w jakichś gminnych sprawach do Starostwa powiatowego w Lublinie. Pojechałam furmanką i wjeżdżając do miasta przez Kalinowszczyznę, dzielnicę do niedawna jeszcze zamieszkałą przez Żydów – widziałam ślady niedawnego, straszliwego pogromu. Dzielnica wydawała się wymarła, na trotuarach i jezdniach leżały strzępy pierzyn i stosy pierza, słoma, potrzaskane meble, potłuczone naczynia kuchenne, spiętrzone szmaty. Drzwi domów były powybijane, wytłuczone szyby w oknach,

[27] Zob. T. Radzik, *Lubelska dzielnica zamknięta*, Lublin 1999, s. 50–51, 55.

gdzie niegdzie zwisał strzęp oberwanej firanki. Na każdym kroku widać było ślady tragedii, która się tu rozegrała. W błocie ulicznym leżały książki żydowskie i papiery, jakiś zeszyt szkolny, jakaś pretensjonalna grupowa fotografia, potrzaskane skrzypce, szczotka do froterowania podłóg, staromodny kapelusz. I cisza, przytłaczająca cisza opustoszałych, wymarłych domów. Widać półki rozbitych sklepów, porozrzucane towary – wszystko ważne kiedyś i potrzebne. Czuję znowu, jak kiedyś w warszawskim getcie, że należę do tych ludzi wymordowanych, do ludzi z tych milczących, żydowskich uliczek. Czuję, że żydostwo to nie jest sprawa religijna czy społeczna, że to jest sprawa krwi, głęboka istotność, prawda biologiczna zawarta w każdej komórce organizmu, nieuchwytna a przepotężna. I znowu czuję się winna, że żyję. - - - - [maszynopis, s. 51–52]

Słowa kluczowe
Holokaust, Żydzi–Polacy 1939–1945, ukrywanie się po aryjskiej stronie, pomoc i ratunek, Kościół katolicki a Żydzi 1939–1945

Abstract
In the three subsequent issues of *The Bulletin of the Jewish Historical Institute* of 1959 and 1960, the diary of Krystyna Modrzewska (Mendalbaum), submitted to the Central Jewish Historical Commission in 1947, was published. The first part, which opens with the outbreak of the war and ends with mass executions of the Jews in a forest near Krępiec, outside Lublin in spring 1942, was massacred by the censorship. The author writes, among other things, about hiding in the nunnery of the Congregation of Sisters of the Bethany Family outside Lublin, and she harshly judges the relations there. It turns out that the communist censor eliminated the record concerning critical views on the nuns' mentality, their intellectual and moral standards. The censor did not approve of the comments about nunnery's everyday life and church religious rituals, the clergy's hypocrisy and the increasingly materialistic views of this group. The censor's interference in the field of the author's religious experience is even more acute as Modrzewska's diary rates among a small group of testimonies describing adult Jews hiding in monasteries and convents. All those fragments has been restored in the current edition and placed in the context of the whole. Reading the integrated fragments of Modrzewska's diary about hiding in the convent, it is worth pondering why a person (who had been baptized as a student of the university of Bologna, treating this ceremony very seriously, not opportunistically) experiences such a sheer disappointment in the convent near Lublin.

Key words
the Holocaust, Jews–Poles 1939–1945, hiding on the Aryan side, help and rescue, the Catholic Church and the Jews 1939–1945